

Krajobraz po życiu

Śladami Galicji

O P O W I E Ś C I

o ludziach i miejscach

BARBARA GAWĘŁ

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka

Redakcja i korekta: M.T. Media

Projekt graficzny i skład: Adrian Partyka

Mapa na s. 4: Magdalena Krocak

Zdjęcie na okładce pochodzi z kolekcji rodziny Ruebenbauer, dzięki uprzejmości Stowarzyszenia Promocji i Rozwoju „Młody Mołodycz” www.molodycz.pl. Fotografia przedstawia grupę kobiet na spacerze w Śmiłowie pod Lwowem w 1911 r. W tle widoczne pola uprawne oraz budynek cerkwi.

Źródła fotografii z wnętrza znajdują się na końcu książki.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/pejnie>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-4048-0

Copyright © HELION 2019

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Spis treści

Tam, gdzie ucichł gwar	7
M jak Medyka i miłość	23
Geniusz, o którym zapomniano	37
U Czartoryskich	47
Synagoga za 600-lecie	57
Wesele zbroczone krwią	65
Cicho, sennie i... Hollywood	77
Nad Nilem	89
Henia i Adam — historia pewnej znajomości	95
Na zawsze twoja	103
O pięciu chłopakach z jednego gimnazjum	111
Był sobie Percy	133
Wojna i spokój	141
Kosmos jakiś	149
Taka jedna niedziela	159
Grecy, Włosi i piramida, czyli Bieszczady	167
I można tak wędrować...	181
Bibliografia	185

Cicho, sennie i... Hollywood

Gorące, lipcowe popołudnie. Radomyśl Wielki — niewielkie miasteczko z imponującym rynkiem — sprawia dziś wrażenie wymarłego. Może przez ten upał, a może dlatego, że to niedziela... Cicho, że aż strach.

Niegdyś, przed wielu laty, miasteczko, a zwłaszcza ten rynek żyły całkiem innym życiem. Co tydzień w czwartek odbywał się tu targ, a pięć razy do roku słynne na całą Galicję jarmarki. Handel zdominowany był przez Żydów, bo też i oni stanowili przez całe dziesięciolecia większość w miasteczku, więc to głównie do nich należały sklepy i kramy w rynku. Sprzedawali tutaj ryby, sól i cukry, naftę, oliwę i mydło, była też trafika i kram towarów bławatnych, handlowali wapnem, powrozami, wyrobami żelaznymi, wymieniali zboże na mąkę. Podczas gdy dorośli sprzedawali i kupowali, targując się o każdy grosz, dzieciaki biegały między kramami, trochę pomagając rodzicom, a trochę dokazując. Wśród nich były dzieci Pistrongów, Baerów, Goldów, Brandów, Kochów, Mahlerów, Millerów, Salzów, Lejbowitzów i wielu innych, którzy od pokoleń mieszkali w Radomyślu.

Mały Izydor, syn krawca Samuela, też zapewne nieraz był na radomyskim rynku. Przychodził tu z rodzicami i rodzeństwem — i to był dobry okres jego dzieciństwa. Ale był też znacznie gorszy, gdy bywał tu już tylko z wujem, a później ciągle z jakimś innym dalszym krewnym. Pod koniec lat 80. XIX wieku rodzina Izydora, podobnie zresztą jak wiele innych żydowskich rodzin w tamtym czasie, postanowiła opuścić Radomyśl na zawsze. W poszukiwaniu lepszego bytu wyruszyli do Ameryki. Zapakowali w tobołki swój dobytek — maszyny do szycia, poduszki, pierzyny, trochę ubrań i buty — i wyjechali. Ale

nie wzięli ze sobą wszystkich swoich dzieci. Zostawili Izydora. Jego jednego z siedmiorga. Miał wtedy sześć lat i był z ich dzieci najmłodszy.

Rodzice, tłumacząc się brakiem funduszy na dziewiąty bilet, podrzucili chłopca wujowi, który obiecał się nim zaopiekować. Ale wuj niedługo potem umarł, a dla małego Izydora rozpoczęła się traumatyczna wędrówka od jednego krewnego do kolejnego.

Po wielu miesiącach przyszedł w końcu od rodziców wyczekiwany przez Izydora bilet do Ameryki, więc krewni czym prędzej wyprawili chłopca w podróż. Siedmioletnie dziecko, które nigdy wcześniej nie wyjeżdżało z rodzinnego miasteczka, samo musiało wyruszyć z jednego końca świata na drugi.

Wsadzając Izydora do pociągu, ktoś z bliskich powiesił małemu na szyi tabliczkę z prośbą, by ten, kto ją przeczyta po dotarciu chłopca do Hamburga, umieścił malca na statku odpływającym tego a tego dnia do Nowego Jorku — i jakiś dobry człowiek spełnił tę prośbę. Potem jeszcze było trzy tygodnie koszmarniej podróży w najtańszej klasie pod pokładem, gdzie roiło się od robactwa, w ścisku i duszącym smrodzie, aż w końcu na horyzoncie pojawiła się ta Ameryka.

Ani ojciec, ani matka nie znaleźli czasu, by wyjść po syna. Wysłali starszego brata Izydora, dziesięcioletniego Abego, by załatwił wszelkie formalności i przyprowadził go do domu. I tak chłopiec dołączył w końcu do rodziny. Ale przyjazd do Ameryki miał swoją cenę — był nią koniec dzieciństwa. Izydor nagle wkroczył w dorosłość.

Rodzice uznali bowiem, że w przeciwieństwie do pozostałych dzieci szkoła to w jego przypadku zupełny zbytek (nie wiązali z synem, zwłaszcza jego matka, żadnych nadziei), i po ledwie kilku tygodniach nauki zamienili mu miejsce w ławce na stołek przy maszynie do szycia. Tym samym Izydor dołączył do rodzinnego biznesu szycia płaszczy. Do szkoły już nigdy nie wrócił i nigdy już — z wyjątkiem pojedynczych wyrazów — nie nauczył się ani czytać, ani pisać, potem opanował jedynie cyfry i liczenie.

Przez wiele lat Izydor siedział przy maszynie do szycia od wschodu do zachodu słońca przez siedem dni w tygodniu, miesiąc w miesiąc, rok w rok. Później szycie urozmaicone zostało wyjazdami — podróżował po kraju jako komiwojażer z płaszciami do domów towarowych.

Dopiero rok 1911 przyniósł znaczącą zmianę w jego życiu. Wtedy to, w sylwestra, ożenił się z niejaką Augustą Barnett, której rodzina też przyjechała do Ameryki z Radomyśla Wielkiego. Przed ślubem niewiele o sobie wiedzieli, ale ich uczucie (lub też jego brak) nie miało większego znaczenia. Ojcowie młodych, znając się jeszcze „ze starego kraju”, postanowili połączyć swe aktywa (ojciec

Izydora prowadził już wtedy własną firmę odzieżową, a ojciec Augusty był właścicielem składu konfekcji), więc młodzi stali się małżeństwem.

Augusta, kochająca literaturę, muzykę i teatr, wielbicielka poezji Emily Dickinson, dopiero dwa miesiące po ślubie odkryła, że jej mąż jest analfabetą. Potrafiła jednak docenić, że mimo to tak dobrze radzi sobie w biznesie. Izydor założył własną firmę — Miltex Coat and Suit Company — i z sukcesem przez wiele lat ją rozwijał. W krótkim czasie stał się jednym z głównych producentów odzieży damskiej w Stanach Zjednoczonych. Tysiące Amerykanek chodziło w ubiorach szytych w fabrykach Izydora.

W tym czasie firma jego ojca została zamknięta. Izydor, w poczuciu odpowiedzialności za rodzinę, zatrudnił dziesiątki bliższych i dalszych krewnych, co — jak twierdziła później jego żona — miało opłakane skutki dla rodzinnego biznesu.

Tak oto porzucony niegdyś przez najbliższych chłopiec, którego już w dzieciństwie skazano na życiową porażkę, stał się podporą całej rodziny. Ale wielu z jego bliskich, którym zapewniał pracę i utrzymanie, i tak zawsze widziało w nim kogoś gorszego. Także despotyczna matka, która nie potrafiła traktować go tak samo jak inne swoje dzieci i o której miłość zabiegał na wszelkie możliwe sposoby, również używając do tego drogich prezentów.

Życie Izydora i jego najbliższych było mimo wszystko dosyć stabilne. Z czasem w domu pojawiły się dzieci — dwóch synów i córka. Widząc, jak biznes kwitnie, Izydor był pewnie spokojny o ich przyszłość.

W 1915 roku mógł nawet rozszerzyć zakres swojej działalności i to na całkiem nowatorskiej niwie. Wtedy to przyszedł do niego niejaki William Fox, działający również w branży odzieżowej, z niecodzienną propozycją: Izydor wyłoży 50 tysięcy dolarów, a Fox zagwarantuje mu znaczne udziały w zakładanej przez siebie wytwórni filmowej. Izydor uwielbiał kino, więc ofertę rozważał, tyle że nie do końca ufał Foxowi. Gdyby jeszcze Fox chciał robić te filmy w Nowym Jorku... Ale nie, Fox zamierzał wyjechać z pieniędzmi Izydora do Kalifornii, a to już przedsiębiorca uznał za zbyt duże ryzyko. Odrzucił więc filmową propozycję, pozostając wyłącznie przy swoim biznesie.

Firma Miltex Coat and Suit Company nadal się rozwijała, Izydor zatrudniał coraz więcej ludzi. Stać go było na 11-pokojowy apartament na Manhattanie, coroczne wakacje z rodziną we własnym letnim domku na Rockaway Beach z widokiem na otwarty ocean, ekskluzywną siedmioosobową limuzynę i szofera, który każdego ranka woził go do pracy.

Izydor, uwieczniony na fotografii w okresie prosperity razem z żoną i najstarszym synem, to przystojny mężczyzna w świetnie skrojonym garniturze, ze

spinkami przy mankietach koszuli i sygnetem na palcu. Człowiek o dobrych, trochę smutnych oczach i łagodnym wyrazie twarzy. Wzbudza zaufanie i szacunek. Ze zdjęcia emanuje spokój.

Ten spokój trwał do czwartku 24 października 1929 roku. Wtedy to wielki kryzys zaczął zjadać dorobek życia Izydora. Rodzina musiała zacząć przyzwyczajać się do znacznie skromniejszego życia. Najpierw zrezygnowali z szofera, potem z samochodu, sprzedali domek na Rockaway Beach, a w końcu apartament na Manhattanie zamienili na skromny dom w Brooklynie.

Obaj synowie próbowali pomóc ojcu w ratowaniu rodzinnego biznesu, zwłaszcza starszy, Kermit. Ten dobrze zapowiadający się literat, wielbiciel Keatsa, porzucił studia i aż do 1936 roku robił, co mógł, by zbudowana przez ojca firma uniknęła bankructwa. Młodszy, Arthur, chcąc wesprzeć rodzinne finanse, przez kilka miesięcy codziennie od czwartej nad ranem rozwoził chleb, a wieczorem chodził do szkoły. Żona Izydora też dorzucała się do domowego budżetu. Najpierw zdobywała pieniądze, wyprzedając stopniowo swą biżuterię, a później... grając w brydża.

W tej nowej, trudnej sytuacji najbardziej zagubiony był Izydor, który w dodatku chcąc za wszelką cenę zachować dobre imię, postanowił honorowo spłacić swe zobowiązania, czym przyspieszał tylko koniec swojego bytu w biznesie. Przez cały czas próbował też wspierać krewnych, którzy niejednokrotnie bezlitośnie go wykorzystywali. Siedem lat po wielkim krachu mała już wówczas firma Izydora została definitywnie zamknięta, a on sam nigdy nie odbudował swej dawnej pozycji.

W tym samym czasie wytwórnia filmowa, znana dziś jako 20th Century Fox, wprowadzała do kin coraz więcej filmów, a Izydor z trudem wysupływał parę dolarów na bilety.

Swoją klęskę ten jeszcze nie tak dawno świetnie prosperujący przedsiębiorca przyjął godnie, choć ciągłe utyskiwania żony, rozczarowanie dzieci, docinki krewnych musiały go przecież bardzo boleć. Nie bronił się, nigdy na nikogo nie podniósł głosu. Znosił to wszystko w milczeniu.

Gdy wybuchła wojna, Izydor zapewne myślał czasami o krewnych i znajomych z Radomyśla, zastanawiał się, co by było, gdyby został w Polsce. I oddychał z ulgą, wiedząc, że w Nowym Jorku jego najbliżsi są bezpieczni. Ale do czasu. Kiedy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, zadrżał o synów. Arthura armia sobie odpuściła — z powodu urazu kolana jeszcze z czasów młodości został zwolniony ze służby wojskowej. Za to Kermit wyruszył na wojnę i to od razu

do Normandii. Ciężar doświadczeń z pola walki okazał się ogromny. Zostawił w nim ślad na całe życie.

Po wojnie sytuacja w rodzinie Izydora stopniowo się normowała. Wszystkie dzieci założyły rodziny, na świat przychodziły kolejne wnuki. Izydor wiódł zwykłe życie starszego pana, w którym od czasu do czasu zdarzały się chwile niezwykłe. Czasem też bardzo trudne. W 1961 roku zmarła mu żona, którą — mimo jej ciągłych pretensji, jakie miała do niego niemal przez całe życie — bardzo kochał. Rok później odeszła jego ukochana synowa. On sam zmarł w 1966 roku, przekroczywszy osiemdziesiątkę.

Do końca życia trzymał w portfelu wycięte z gazety zdjęcie, na którym stoi obok pięknej, roześmianej aktorki i ściska dłoń przystojnego, znanego na całym świecie polityka. Ta aktorka to synowa Izydora, Marilyn Monroe, a ów polityk to John F. Kennedy. Na tym zdjęciu Kennedy występuje jako gospodarz gali dobroczynnej w Madison Square Garden, podczas której Marilyn zaśpiewała słynne *Happy Birthday*.

Kto by pomyślał! On, dzieciak z Radomyśla Wielkiego, małego sztetla gdzieś w dalekiej Polsce, który 70 lat wcześniej z tabliczką na szyi przypłynął do Ameryki, był na przyjęciu urodzinowym u prezydenta Stanów Zjednoczonych w towarzystwie jednej z najpiękniejszych kobiet świata! Kto by pomyślał, że jego syn — właśnie jego, niepiśmiennego przedsiębiorcy znającego się głównie na szyciu — zostanie najsłynniejszym amerykańskim dramaturgiem XX wieku!

Izydor Miller. W Ameryce najpierw Izzie, później Isidore. Ojciec wybitnego dramaturga Arthura Millera, niespełnionego, choć dobrze zapowiadającego się pisarza Kermita Millera i aktorki Joan Copeland. Teść Marilyn Monroe, jeden z najważniejszych ludzi w jej życiu.

Marilyn pokochała Izydora w tej samej chwili, w której go poznała, zresztą z wzajemnością. Oboje troszczyli się o siebie, ufali sobie bezgranicznie i rozumieli się tak, jak tylko potrafią się rozumieć odrzucone przez rodziców dzieci. Dzięki Marilyn Arthur Miller na nowo poznał swojego ojca. Sam przyznał, że to dzięki żonie odkrył jego naturalną wrażliwość i dobry teatralny gust. Wszystko, co pisał, testował na ojcu. Reakcja Izydora na opowiadaną historię była dla dramaturgi wyznacznikiem, czy sztuka na tej historii oparta będzie dobra, czy nie.

Rozwód Marilyn i Arthura niczego nie zmienił. Izydor pozostał ze swoją byłą już synową w bliskich i serdecznych relacjach. Marilyn zawsze zwracała się do niego per *Dad*. Często do siebie telefonowali, wymieniali czułe listy. „*Please, let me hear from you soon. With love, Dad*” — pisał Izydor z czyjąś pomocą, choć



Izydor (Isidore) Miller z synową Marilyn Monroe, żoną Augustą i synem Arthurem. 30 czerwca 1956 r.

Dad, najstaranniej jak potrafił, kaligrafował sam. „*Dear Dad, I send all my love and I miss you*” — odpisywała Marilyn.

Gdy zmarła Augusta, żona Izydora, Marilyn bez wahania przyjechała na pogrzeb i przez całą ceremonię trzymała go za rękę. Rok później to właśnie teścia poprosiła, by towarzyszył jej na gali w Madison Square Garden. A gdy podczas przyjęcia niemal wszyscy mężczyźni próbowali zwrócić na siebie jej uwagę, ona interesowała się tylko jednym — Izydorem. Była cały czas tuż obok, robiła wszystko, by nie czuł się wyobcowany.

Po raz ostatni Izydor zadzwonił do Marilyn niecałe trzy miesiące później. Telefon odebrała gosposia, powiedziała, że Marilyn nie może podejść do telefonu i że oddzwoni. Ale nie oddzwoniła. Tamtego dnia umarła. Izydor Miller był być może tym, którego śmierć Marilyn Monroe dotknęła najboleśniej.

On sam odszedł cztery lata później, ale taśma filmowa w Hollywood i sceny teatralne na Broadwayu utrwaliły — za sprawą jego syna — sporo z jego życia. Bo Arthur Miller właśnie w domu znajdował tematy do swoich najśłynniejszych sztuk. Izydor był w nich zwykle pierwowzorem przegrywających mężczyzn, a Augusta inspiracją wielu różnorodnych ról kobiecych. I tak oto dom, w którym przyszły dramaturg przez wiele lat nie potrafił zaakceptować bezradności ojca i emocjonalnego rozedrgania matki, stał się trampoliną do jego sukcesu.

Nie przystępując do spółki z Foxem w 1915 roku, Izydor zrezygnował z Hollywood, ale ono ciągle za nim szło. I w pewnym sensie nadal idzie. Wnuk Izydora, Robert Miller, jest reżyserem i producentem filmowym, a wnuczka, Rebecca Augusta Miller (prywatnie żona aktora Daniela Day-Lewisa), to ceniona w Hollywood reżyserka i scenarzystka, niegdyś również aktorka, a do tego pisarka, tłumaczona i znana też w Polsce.

W tym samym roku, w którym Izydor Miller poznał osobiście prezydenta Kennedy’ego, niejaki Sam Salz przekazał Białemu Domowi słynny obraz Charlesa Édouarda Armanda-Dumaresqa *Podpisanie Deklaracji Niepodległości*.

Salz był już wówczas najbardziej znanym w Ameryce marszandem i kolekcjonerem dzieł sztuki specjalizującym się zwłaszcza we francuskim impresjonizmie. Obraz ofiarował Ameryce jako dar wdzięczności za to, że przyjęła go po jego ucieczce z opanowanej przez nazistów Europy. Salz przybył do USA z Niemiec, ale wcześniej przyjechał do Europy Zachodniej z... Radomyśla Wielkiego. Tu się

urodził (w 1894 roku) i tu mieszkał przez całe swe dzieciństwo i wczesną młodość. Jego ojciec, Mosze Salz, był postacią znaną i szanowaną przez wszystkich Żydów nie tylko w Radomyślu. Radomyśl nazywany był bowiem „stolicą Tory”. Tu mieszkał pisarz Tory, który kaligrafował księgi Starego Testamentu na wyprawionych jagnięcych skórach, i tym pisarzem był swego czasu właśnie Mosze Salz.

Jego syn Samuel od dzieciństwa wykazywał duże zdolności plastyczne. Radomyśl nie był jednak jego światem, więc przy pierwszej nadarzającej się okazji — jako nastolatek — wyjechał z miasteczka. Przybył do Wiednia, gdzie na Akademii Sztuk Pięknych studiował malarstwo i historię sztuki. Początkowo chciał zostać malarzem, ale gdy porównał prace swoje i kolegów, uznał, że malarstwo drugiej kategorii, którego najwyraźniej jest reprezentantem, po prostu go nie interesuje. Zajął się więc kolekcjonowaniem i sprzedażą dzieł sztuki, szybko zdobywając w tej branży wysoką pozycję. Zawsze dobrze wyczuwał rynek — zaczął od nabywania dzieł Utrilla i Chagalla i był to strzał w dziesiątkę.

Zresztą fascynacja Chagallem prawdopodobnie uratowała mu życie. Po tym, jak na początku lat 30. XX wieku wystawił w swej galerii w Berlinie portrety rabbinów pędzla Marka Chagalla, natychmiast trafił na „żydowską listę” nazistów. Musiał opuścić hitlerowskie Niemcy, co później pozwoliło mu uniknąć losu milionów Żydów.

W Stanach poradził sobie znakomicie. Jego nazwisko stało się wśród kolekcjonerów dzieł sztuki doskonale rozpoznawalną marką. Interes, który z pasją prowadził, oparł tylko na jednej zasadzie: wyszukiwał i nabywał wyłącznie to, co jemu samemu się podobało. Nie interesował go dyktat rynku, ten jednak często pokrywał się z gustem Salza: Cézanne, Degas, Renoir, Monet, van Gogh, Lautrec, Chagall rzecz jasna... Ich obrazy kupowały od Salza między innymi hollywoodzkie znakomitości — Greta Garbo, Kirk Douglas, Orson Welles, Jack Warner czy Billy Wilder. A „król nafty” David Rockefeller poprosił go nawet, by pomógł mu stworzyć prywatną kolekcję.

Jakże inny był dorosły świat Samuela Salza od tego, który zostawił za sobą w biednym Radomyślu! W tym lepszym świecie grywał w karty z Jackiem Warnerem i Billym Wilderem (nawiasem mówiąc, rodzice tego pierwszego pochodzili z Krasnosielca na Mazowszu, a ten drugi urodził się w Suchej Beskidzkiej), toczył długie rozmowy z Erichem Marią Remarkiem, przyjaźnił się z Markiem Chagallem, znał wszystkich cenionych w świecie malarzy XX wieku. Gdy zmarł, w 1981 roku, w wieku 87 lat, „The New York Times” poświęcił mu specjalny artykuł.

A w tym gorszym świecie, w Radomyślu — gdyby został — prawdopodobnie zginąłby tak jak jego ojciec i siostry. W 1941 roku Mosze Salz, pisarz Tory, został

zastrzelony przez nazistów w mieleckim getcie. Jego dwie córki, Mina i Lyla, trafiły do obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen i zginęły prawdopodobnie podczas tak zwanego marszu śmierci.

Samuel Salz żyłby o 40 lat krócej, a o jego odejściu nie informowałyby wszystkie większe gazety amerykańskie.

Wyjeżdżając z Radomyśla na zawsze, Samuel Salz opuszczał nie tylko swoich najbliższych, ale i kolegów. Wśród nich znaleźli się też pewnie Brandowie — rodzin o tym nazwisku było w Radomyślu wiele. Jeden z Brandów był krawcem, inny handlował towarami bławatnymi, kolejny sprzedawał oliwę i mydło, jeszcze inny kapelusze i obuwie. Działali też społecznie. Na przykład niejaki Josel Brand przyczynił się do założenia w Radomyślu w latach 20. XX wieku Teatru Dramatycznego, a Jechiel Brand — do powstania żydowskiego klubu piłkarskiego Makabi.

Kolegą Samuela był może Schija Brand, który później — gdy Samuel stał się już Samem — kupił samochód i jako prywatna firma transportowa woził ludzi między Tarnowem a Tarnobrzegiem. Wtedy wszyscy w Radomyślu wiedzieli, kim jest Schija Brand. Dziś wszyscy w Radomyślu wiedzą, kim jest Joshua Brand. A jeśli nawet nie zawsze mogą sobie przypomnieć jego nazwisko, to wiedzą, czego dokonał. Bo Joshua Brand, wnuk Schii Branda, urodzony już w Nowym Jorku producent, reżyser i scenarzysta, to współtwórca kultowego po obu stronach Atlantyku serialu *Przystanek Alaska*.

Isidore Miller, Sam Salz, Joshua Brand — nowojorczyki z Radomyślem Wielkim w życiorysie, dla których los okazał się łaskawy. Gdyby Miller, Salz i przodkowie Branda nie opuścili niegdyś Radomyśla, to w niedzielny, gorący poranek 19 lipca 1942 roku znaleźliby się pewnie razem ze swymi rodzinami w grupie 500 osób zagonionych przez Niemców na radomyski rynek, a następnie przewiezionych furmankami na pobliski kirkut.

Ten dzień był dla radomyskich Żydów dniem Apokalipsy. Egzekucje na kirkucie trwały przez cały dzień. Żydzi musieli rozebrać się do naga i podchodzić



Kirkut w Radomyślu Wielkim

po kolei do świeżo wykopanego rowu. Kolejka do śmierci była długa — sto grup po pięć osób. Sto razy po pięć strzałów. I koniec. Gmina żydowska w Radomyślu Wielkim przestała istnieć.

Okupant likwidował też kirkut. Z czasem to, co ocalało, zarosło drzewami, krzakami, tarniną. Dziś też niełatwo go znaleźć. Najpierw anonsuje go zarosnięty kawałek łąki z tablicą, na której widnieje napis: „Zabytkowy cmentarz żydowski w Radomyślu Wielkim. Obiekt prawem chroniony. Wywóz śmieci, niszczenie pomników oraz wypas zwierząt wzbroniony pod karą grzywny”. Po około 100 metrach po prawej stronie polnej drogi leży ledwie widoczna macewa wrastająca w ziemię. To znak, że kierunek jest właściwy. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i na bardziej uporządkowanym terenie widać obelisk — pomnik Holocaustu ku czci pomordowanych. Są też macewy. Z setek, które tu niegdyś były, ocalało jakieś 50, a i z nich wiele trudno jest dojrzeć. Gdzieś tutaj pochowany jest wuj małego Izydora, który zajął się nim po wyjeździe rodziców, i inni krewni, u których mieszkał, to również miejsce spoczynku przodków jego żony, Augusty z domu Baer (dopiero w Ameryce Baerowie zmienili nazwisko na Barnett), krewnych Sama Salza i wielu Brandów...

Dziś ten zakątek Radomyśla wygląda jak zdziczały park. Drzewa dają upragniony cień, ptaki przekomarzają się raz ciszej, raz głośniej. Jest wręcz sielankowo.



Tablica upamiętniająca pobyt Tadeusza Łomnickiego w Radomyślu Wielkim

Gdyby nie ten pomnik, nic nie wskazywałoby na tragedię, która wydarzyła się tu w skwarny lipcowy dzień 1942 roku.

Upał w miasteczku przechodzi z wolna w przyjemny, wieczorny chłód. Po rynku spaceruje trochę więcej ludzi, dzieci biegają wokół stojącego na skwerze unikatowego polskiego samolotu sportowego M-2 rocznik 1956, dumy miasta.

Ale nic nie sugeruje będącemu tu przejazdem przybyszowi, że znalazł się w miejscu, nad którym unosi się prawdziwie hollywoodzki duch. Wprawdzie jeśli dociekliwy przybysz zrobi sobie nieco dłuższy spacer nie tylko po rynku, ale również po uliczkach doń przylegających, to na jednej z kamienic, a właściwie dworku, pełniącym kiedyś funkcję poczty, dostrzeże pewien element filmowy — mianowicie tablicę, z której się dowie, że właśnie w tym domu spędził dzieciństwo... Tadeusz Łomnicki.

Rodzina Łomnickich trafiła do Radomyśla za sprawą ojca aktora, który w roku 1933 objął w miasteczku posadę naczelnika poczty. Tutaj przyszły Mały Rycerz po raz pierwszy dosiadł konia, właściwie kucyka, i uczył się na nim jeździć. Tu

również — razem z bratem Janem, przyszłym reżyserem serialu *Dom* — pierwszy raz stanął na scenie, choć była to tylko scena teatrzyku w budynku „Sokoła”. Dzięki Łomnickiemu troszkę ducha Hollywood jest nawet w tej pamiątkowej tablicy. *Potop*, w którym aktor był panem Wołodyjowskim, w 1974 roku przegrał walkę o Oscara w kategorii najlepszego filmu nieanglojęzycznego tylko z obrazem *Amarcord* Federica Felliniego.

Na tym jednak nie koniec. W 1990 roku w Radomyślu znów częściej niż gdzie indziej padało słowo „Hollywood”. Wtedy polskim kandydatem do Oscara był film *Kornblumenblau* Leszka Wosiewicza. Filmowca, który urodził się w Radomyślu Wielkim.

Kto następny? Nie będzie łatwo. Poprzeczkę zawieszono wysoko.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Krajobraz po życiu to podróż w czasie po życiorysach, wydarzeniach i miejscach mało znanych lub całkiem nieznanym, a jeśli już znanych, tutaj pokazywanych z innej niż zwykle perspektywy. Autorka zabiera nas na wędrówkę poza utarte szlaki, po galicyjskich śladach wpisanych w krajobraz rozciągający się od Roztocza po Bieszczady. Opowieści to niezwyczajne, niebanalne i zaskakujące, a jednocześnie przepełnione nostalgią oraz chęcią przywrócenia tamtym miejscom i ludziom należytej pamięci.

Bohaterami tej książki są m.in.: podkarpacki Nil, cesarz Antarktydy, Kennedy, który pojawił się kiedyś w Zbydniowie, niedoszły noblista Rudolf Weigl, genialny wynalazca Jan Szczepanik i nikomu nieznany Percy z Krosna, dzięki któremu można odbyć podróż w czasie, gdy Polska była jednym z potentatów w wydobywaniu ropy naftowej na świecie. Pojawia się tu również pewna aktorka światowej sławy, jeden z przyjaciół malarza kubisty Marca Chagalla, a nawet słynny atleta, który kiedyś był, obok Ignacego Jana Paderewskiego, najbardziej znanym Polakiem w Ameryce.

Z lektury *Krajobrazu po życiu* można się też dowiedzieć, co łączy Radomyśl Wielki z Hollywood, a Bieszczady z Grecją, Włochami i Egiptem, jak również dlaczego kilkom mieszkańcom Rudy Różanieckiej osobiście zainteresowali się niegdyś Himmler, Churchill oraz de Gaulle. Oprócz tego znajdziemy tutaj jeszcze parę innych niebanalnych życiorysów i mniej znanych wydarzeń i miejsc. Wszystko opatrzone zdjęciami i oparte na bogatym materiale źródłowym.

 **editiowhite**



Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
• <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
• <http://editio.pl/novosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint^{PL}



ISBN 978-83-283-4048-0



9 788328 340480

Cena 39,90 zł